

SALEM!

Tadeusz Ulewicz

ur. w Radomiu 4 VIII 1917

zm. w Krakowie 5 V 2012

„Salem!”. Tym słowem powitał mnie Tadeusz Ulewicz przy pierwszym spotkaniu w siedzibie Polonistyki UJ na Gołębiej 20 w 1945 roku. Tak witał i żegnał wszystkich przyjaciół, kolegów i studentów. Wszystkim też okazywał życzliwość pełną ciepła. I serdeczność. W pierwszej chwili byłem nawet zażenowany: może to ktoś, kogo znam od dawna, a teraz nie potrafię sobie przypomnieć – skąd, ani kto to taki. Jak mi opowiedzieli moi nowi krakowscy koledzy, Danuta Michałowska, Ata Stanisławska, Zbyszek Gołąb, Zbyszek Kamykowski, Romek Stankiewicz, niektórzy zwierzchnicy asystenta Tadeusza Ulewicza krzywym okiem patrzyli na ten jego brak dystansu wobec studentów i nie przydzielali mu zajęć dydaktycznych. Krążyły słuchy, może plotki, że obawiano się, iż jego sposób bycia, niski wzrost i wysoki tembr głosu mogą zaszkodzić prestiżowi wykładanej historii literatury staropolskiej, której – przyznawano to już wtedy – był wybitnym znawcą. Przybyły z Warszawy Julian Krzyżanowski, jak i ja ocalały z Powstania, od pierwszej chwili z wielkim uznaniem wyrażał się o Ulewiczu i na swój sposób, daleki od dyplomatycznych eufemizmów, powiedział krakowskim kolegom, których dobrze znał z okresu swych własnych studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim, co myśli o tym, że Ulewicza nie ma wśród uczących młodzież. Kolejne lata, a było ich sześćdziesiąt siedem, z nawiązką potwierdziły tamtą wysoką ocenę wiedzy i talentu naukowego Tadeusza, wówczas dwudziestosiedmioletniego.



foto: Jerzy Sawicz, dzięki uprzejmości Redaktor R. Pagacz-Moczarskiej, „Alma Mater”

Kontakty z Tadeuszem trwały krótko, bo już w listopadzie 1945 roku, po dziewięciu miesiącach asystentury na Uniwersytecie Jagiellońskim, wyjechałem z Krakowa, by wraz z ekipą warszawian pod wodzą Juliana Krzyżanowskiego powrócić do zniszczonej stolicy i rozpocząć pracę na Uniwersytecie Warszawskim. Oddalenie terytorialne oraz to, że na przełomie 1950/51 przeszedłem do Zakładu Logiki UW, sprawiły, iż nie spotykaliśmy się z Tadeuszem przez kilkadziesiąt lat. Aż niespodziewanie, po tej długiej przerwie nastąpiło pamiętne spotkanie.

Jest Wiedeń, lata chyba osiemdziesiąte. Po wielogodzinnych obradach kongresowych samotny popołudniowy spacer dla wytchnienia: wzdłuż Ringu i sąsiednimi ulicami. Po drodze zwiedzam kościoły, przeważnie puste o tej porze powrotu z pracy. W którymś z nich, chyba w polskim kościele Św. Krzyża przy Rennweg, jeden jedyny modlący się człowiek. Idąc ku ołtarzowi, spoglądam kątem oka w stronę prawej nawy na siedzącą w ławce postać: Tadeusz! Padamy sobie w objęcia i, niepomni powagi miejsca, wykrzykujemy słowa powitania.

W następnych latach spotykaliśmy się regularnie na Sławkowskiej 17 na zebraniach PAU; jako tradycjonalista nie zaakceptowałem zarostu, który zapuścił: nie było go ani w roku 1945, ani wtedy w Wiedniu. Wspominamy tamte spotkania – pierwsze w niezwykłych czasach u progu powojennej Polski, drugie w niespodziewanych okolicznościach, oba tym bardziej znaczące.

Salem, Tadeuszu, salem!

JERZY PELC